



TRAKTOR KRÓLEWSKI

numer 3 (13)
kwiecień 2008

cena 1,00 zł
ISSN 1895-7919

GUSTAVUS OBIT
HIC NATUS EST
CONRADUS

Dziady

stołówka UW

czy na polonistycę mieszkają poeci

Bullet Time – film studentów Traktu

Za stworzenie możliwości obniżenia ceny dziękujemy spółce Presspublica, wydawcy dziennika

 RZECZPOSPOLITA

kwietnik

Nadszedł kwiecień i narodził się Konrad (znany też jako Gustaw). Więc będzie o dziadach. Różnych.

O tych empirycznych z okolic Traktu i o tych, co w nich drzemią. W oczach tych pierwszych często jest ta smutna pokora. Przestanie być smutna, gdy doczeka się miłości i szacunku, a wtedy powrócą oni jako Dziadowie.

[Dalej będzie krótko, bo pod spodem ma wejść metasprostowanie Ryska, jednego z tych, którzy wierzą mocno w istnienie tzw. Metaredakcji].

Efektom postawienia pytania, czy na polonistycę są jacyś prawdziwi poeci, jest przywołanie na sąsiedniej stronie trójki podejrzewanych o talent studentów.

Jakimi miejscami zajął się Traktor, czyli – dokąd dojechał? A no do sauny na socjologii, do BUWu, gdzie ogląda się porno-fotki, na płonącej ASP i pełny dziwów Ikap. Ponadto przed pustą 7 kwietnia Pałac Kazimierzowski, gdzie nikt nie wykazywał zainteresowania wyborami rektorskimi (dlatego udaliśmy się do przegranego kontrkandydata, który miał wiele planów zw. m.in. z naszym kam-pusem). Zaparkował też na chwilę w uniwersyteckiej stołówce, o której opowiada germanista Ekstra-brąks.

Postaraliśmy się też, byście poznali dwóch studentów Traktu, który nakręcili częściowo na UW film o masakrze, a także wrażenia, jakie przywozły dwie ekipy badawcze z Sewilli i z Paryża. Przybliżymy wam wreszcie koło Chi Kwadrat oraz ideę konkursu organizowanego przez Klub Islandzki. W ramach zaś dzielenia się także cennym dobrem myśli – felietony Naty i Mikołaja Magnuskiego (który nagle się odnalazł) i po raz pierwszy najciekawsze wpisy z internetowego majdanu.

A teraz „ten ładny chłopiec” – jak rzekła jedna dziewczyna kupując poprzedniego Traktora.

Naczal



Metasprostowanie

Droga Metaredakcjo! Uprzejmie informuję, że do artykułu „Wojownik Olpensołrsa” wkradł się błąd: Rysiek mieszka nie w Józefowie, a w Józefosławie (też zakuprze, ale troszkę gdzie indziej), w związku z czym zmuszony będę napisać kiedyś sprostowanie i liczę na jego umieszczenie.

Metapozdrawiam
Rysiek

**TRAKTOR
KRÓLEWSKI**



na masce traktora:

W każdym upokorzonym przez świat dziadzie ukryty jest potencjalny dostoyny słowiański Dziad. Jak go wydobyć?

Traktor Królewski – miesięcznik studentów Traktu

Redaktor Naczelny: Marcin Trepczyński mercyn@o2.pl
Ł a m a n i e: M a c i e k M a t e j e w s k i
W y d a w c a: S t o w a r z y s z e n i e
K w i t n ą c y c h U m y s ł ó w s k u . d o b r z e . o r g
N a k ł ą d: 3 0 0 e g z.

W a r s z a w a – T r a k t K r ó l e w s k i – A D 2 0 0 8



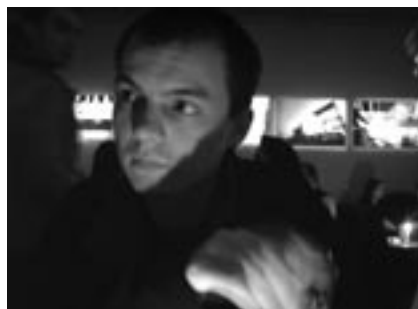
Naczal
Marcin Trepczyński
(osiąganie celów nadrzędnych)



Korektorka
Zosia Bluszcz
(jeżdżenie daleko daleko)



Zadania specjalne
Marta Czernamazowicz
(powiewanie swoim sercem)



Mechanik
Maciek Matejewski
(nie robienie spisu treści)

Dziedzinić KP3 – nowa szansa

Chcemy, żeby dziedzinić KP3 był dostępny dla studentów. Miejsce to bowiem zdaje się być stworzone do spędzania przerw i okienek. Co się tam zaś na razie znajduje, zamiast młodych, pełnych pozytywnej energii ludzi? – szopa, kilka śmietników, zbite szkło. Smutek jakiś.

Odbyło się spotkanie studentów z Dyrekcją IF w sprawie udostępnienia dziedzinić. Obie strony były za. Są oczywiście pewne przeszkody. Idzie o to, aby nie miały tam wstępu osoby postronne, nie pito tam alkoholu i nie było zbyt głośno. Na razie szukamy rozwiązań. Będą w tej sprawie kolejne spotkania. Mamy nadzieję, że się uda. Projekt przewiduje też utworzenie na dziedzinić parking dla rowerów z prawdziwego zdarzenia.

Nowości dotyczące tej sprawy będą się pojawiać w prasie. Liczymy na wsparcie studenckiej braci, choćby duchowe. Dziękuję wszystkim tym, którzy już się w projekt zaangażowali.

Michał Dobrzański, filozof-lingwista

PS: Jakbyście mieli jakieś pomysły dotyczące wykorzystania dziedzinić, możecie pisać na adres starytrampek@yahoo.co.uk

Poliszynel na polonistyce

vs. Poezja podziemna

Polonista-poeta jest jak Yeti: każdy o nim słyszał, ale rzadko komu udało się spotkać z nim osobiście. Ale czy to niemożliwe? Podjęłam trud przekopania tabunów tabu i oto są: Natalia, Kuba i Karol.

Zmuszeni do pisania w podziemiu, są wprawdzie trudno uchwytnei (trzeba uruchomić sieć znajomości, przekupić przyjaciół, by Ich wydali), w końcu jednak spotykamy się w piwnicach polonistyki. Mają mądre, ufne spojrzenia. Są diabelnie skromni. Zanim podzielią się z nami refleksją o swoim polonistyczno-poetyckim losie, zaznaczają tytułem wstępu: „Wiesz, nie piszę zbyt dobrze...”

Wydający wydani

Mają wiele wspólnego: każdy z Nich pisze od dziecka, łączą Ich nawet podobne motywacje – Karol i Natalia nazywają to m.in. potrzebą autoterapii. Najpierw jest doświadczenie, które chcemy jakoś przewalczyć w sobie (jak to określa prof. Zieniewicz – ugryzienie słonia), potem koncept i forma, na końcu – reakcja czytelnika, na której każdemu zależy w inny sposób. Karol nie ukrywa, że liczy na inteligencję odbiorcy i jego gotowość do wejścia w tekst w dialog. Natalia jako swoje motto parafrazuje wypowiedź Pilcha: pisarz nie powinien pisać tak, żeby czytelnik mógł spokojnie zasnąć, ale żeby w środku nocy chciał wstać i zlać go po mordzie. Kuba zaś, który pisze zazwyczaj pod wpływem pozytywnych bodźców, postuluje utilitaryzm poezji – „Jaka korzyść wypływa z napisania wiersza, którego większość ludzi nie rozumie? To egoizm i niezrozumiałość.”

Poezja pożyteczna

Z tak rozbieżnych postaw wobec poezji wynikają odmienne procesy twórcze: Kuba pisze ostatnio głównie piosenki, komponuje muzykę do gotowych tekstów. Po wydaniu tomiku „Mgła” w wieku 18 lat tradycyjne wiersze pisuje rzadko, ale w szczególnym skupieniu. Gromadzi pomysły i łączy je ze sobą na rozmaite sposoby tak długo, aż wykrystalizuje się upragniona, skuteczna forma. Zdarza mu się także wrócić do dawnych tekstów, by je przetworzyć. Karol wydał już dwa tomiki („Labirynt znikomości” 2003, „Czas teodycei” 2007) z wierszami białymi, po których przyszedł czas na eksperymenty formalne: trzeci tomik, do którego się przygotowuje, będzie zawierał tylko sonety. Jest nad podziw zdyscyplinowany – potrafi przebudować wiersz kilka dni – około trzeciej wersji (zbudowanej od podstaw) uznaje wiersz za skończony. Nigdy nie zdecydowałby się na napisanie wiersza na zamówienie, choć jego znajomi właśnie w ten sposób zarabiają. Natalia zajmowała się dotąd głównie prozą, opowiadania i wiersze przyniosły jej wiele nagród (także finansowych, Drodzy Czytelnicy! Czas obudzić się z przekonania, że poeta musi wyżyć z samego tylko prestiżu!). Zajmowała, bo od III roku studiów pisze bardzo rzadko i z nikim się tym nie dzieli... dlaczego?

Mordercza metafora

Coroczny powrót na uczelnię w październiku Karol przypłaca wielotygodniowym milczeniem w pisaniu. Dopiero, gdy ochłonie, wraca do stałego rytmu pracy – wie, że oprócz natchnienia liczy się także, jeśli nie przede wszystkim, warsztat – a ten wymaga systematyczności. Natalia ostatni raz wzięła udział w konkursie dwa lata temu, teraz oddaje się wzajemnemu pochłanianiu z literaturą współczesną, o której pisze pracę magisterską. Chce wrócić do regularnego pisania po studiach. Kuba przestał pisać intensywnie, od kiedy przeczytał Bachtina, bo – choć wszyscy poeci kochają poetykę jako matkę swojego warsztatu – wszechobecna bachtinowska

metafora jest mordercza nie tylko dla Nauki. Ich twórcze instynkty spychane są więc na okres roku akademickiego do podświadomości, by odżyć dopiero w posesyjnym słońcu. Walkę z tak ustalonym porządkiem przypłaca się wyrzutami studenckiego sumienia. Pisanie jednej formy od Natalii i Karola wymaga bowiem kilku dni ciągłej pracy kosztem zajęć. „Nie można igrać z losem i co jakiś czas wytrącać się z równowagi, to chorobliwe” – mówi Natalia.



Karol Samsel, III rok

Przybysz z kosmosu

Poeci na polonistyce muszą działać w podziemiu, bo na powierzchni traktuje się ich jak przybyszów z kosmosu. Każdy z nich próbował zasięgnąć opinii o swoich tekstach u Autorytetów, którzy niechętnie budowali wypowiedź dłuższą niż tradycyjne dwa ciepłe słowa: „Pisz dalej”. Natalia po każdym wygranym konkursie wpuszcza swoje teksty w krwioobieg akademika: „Znajomi dopytują, co t a k i e g o napisałam” – śmieje się. Karol znalazł wsparcie w Ośrodku Kultury Ochota. Do tej pory działał tylko w Ostrołęce, gdzie wspólnie z przyjaciółmi z Literarium krytykują swoje teksty i organizują rozmaite poetyckie przedsięwzięcia. Publikuje też w serwisie nieszuflada.pl. Na polonistyce natomiast próżno szukać choćby pół-oficjalnej grupy stwarzającej podobne możliwości. „To dziwne. – mówi Kuba – Kiedy studiowałem przez rok w Poznaniu, zobaczyłem, że można inaczej: odbywają się tam zajęcia z twórczego pisania, a studenci przyklejają na ścianach zabawne wierszyki – komentarze do tego, co się akurat dzieje na świecie”.



Kuba

A może ślam?

Ponieważ polonistyka ma piękną świecą tradycję w organizacji SLAMów (zamierzając – dwa lata temu odbył się ostatni, zorganizowany przez Kratek i Pana Łatawca), zapytałam o nie w naszych podziemnych rozmowach. Karol i Natalia z ożywieniem wypowiadają się na ten temat, choć żadne z nich nie próbowało jeszcze wziąć udziału w SLAMie. Natalia wyklucza taką sytuację w przyszłości – nawet na pokonkursowych spotkaniach laureatów prosi kogoś siedzącego obok o przeczytanie tekstu w swoim imieniu. Z trzech postaw możliwych do przyjęcia w obawie przed krytyką (maska – Witkowski, ironia – Pilch, zaszczyt się w górach – Stasiuk) skłania się ku pilchowej ironii, ale wie, że do tego jeszcze daleka droga. Zapytałam Kubę, czy SLAM daje możliwość uratowania poezji, odpowiedział: „Chyba do bicia?”

Poliszynel i inne chłopaki

To zabawne, ale do niedawna fakt, że na polonistyce w s z y s c y piszą wiersze (choćby do szuflady) był tajemnicą poliszynela. Ostatnio zaś wyczuć można zażenowanie faktem, że ktoś śmie zarzucić Świętą Powagę Naukową dla czegoś tak niepopularnego jak poezja. Wszystko razem w zderzeniu z moją aktywnością dni ostatnich w tej sprawie spowodowało małe zawirowania w powietrzu (ferment?), które, miejmy nadzieję, zaowocuje w niedługim czasie winem, jakim literaturoznawcy nie upajali się od dawna. Czego sobie i Wam, Drodzy Czytelnicy, życzę

Giambattista Malino
Chruśniak i polonistyka



Natalia Basek, V rok

Polonez zamiast hondy

również o Trakcie z prof. Jackowskim, o-mały-włos-rektorem

7 kwietnia o 16.30 przed Pałacem Kazimierzowskim było pusto. Nie było wieców poparcia ani protestacji. Studentom na Trakcie nie zależało specjalnie, kto będzie nowym rektorem. Model średnio-wieczny odszedł w cień. Ale prof. Stefan Jackowski, który przegrał z prof. Chałasińską-Macukow 90:123, studentom UW jest bardzo wdzięczny.

Elektorzy studenccy niebywale zaangażowali się w tych wyborach. Bardziej niż kiedykolwiek za mojej pamięci. Gdyby nie oni, nie byłoby debat, tylko jedno spotkanie w Auditorium Maximum i koniec. Stworzyli też portal wybory.samorząd.uw.edu.pl.

Co znaczy decyzja elektorów dla studenta Traktu?

Studenci Traktu nie są aż tak różni od innych. Od dawna dążyłem do otwarcia wewnętrznego uniwersytetu dla studentów, by mogli wybierać zajęcia na wielu wydziałach. By decyzję o profilu wykształcenia podejmowali będąc na Uniwersytecie, a nie pod jego bramą. Dotychczas władze UW niewiele w tym kierunku zrobiły, raczej budowały bariery, na które potem narzekali.

Modernizacja i komputeryzacja powoduje utratę tradycyjnego luzu w studiowaniu, wartościowego dla kierunków humanistycznych. Nie szkoda go panu?

Coś za coś. Tradycyjny „luz” faktycznie zakłada swobodę poruszania się, ale w bardzo małej przestrzeni. A mi zależy na otwarciu dla studentów szerokiego obszaru Uniwersytetu. Temu służyła koncepcja USOS-a – systemu ogólnouniwersyteckiego, a nie dziekanatowego, który powstał na wydziale MIM. Tworząc go musieliśmy stworzyć zasady otwartego studiowania. Przechodziły one modyfikacje, od bardziej do mniej restrykcyjnych. Stworzenie zasad ogólnouniwersyteckich wymaga mozolnych ustaleń między jednostkami dydaktycznymi. Takiego procesu dogadywania wspólnych zasad brakuje – układ UW jest gwiaździsty, z Pałacem Kazimierzowskim pośrodku.

Czy nie uważa Pan, że dał się Pan obsadzić w roli groźnego radykała? Nie zmięknął Pan wizerunku?

Za kandydatem na rektora powinny przemawiać konkretne dokonania. W mojej działalności trudno dopatrzeć się radykalizmu. Chciałbym, aby właśnie to tworzyło mój wizerunek, a nie kularowe plotki.

Na paryskim École Normale rektor przynajmniej raz w roku odbywa spotkanie ze

studentami. Jako rektor zdecydowałby się pan na coś takiego, byłby pan widocznym rektorem?

Takie spotkanie się w różnych gronach i konfiguracjach to rzecz niesłychanie ważna. Pomysł uważam za bardzo dobry. Ale nie widzę nic złego w tym, że studenci nie znają rektora. Uniwersytet ma przede wszystkim dobrze funkcjonować, a rektor powinien wszystkie tryby oliwić. Postrzeganie go jako panującego nie jest prawidłowe, powinien on się raczej troszczyć o wszystkich pracowników i studentów. Na wielu dobrych zagranicznych uniwersytetach mniej eksponuje się osoby pełniące wysokie funkcje i ten skromniejszy styl bardziej mi odpowiada.

W razie zwycięstwa stanowisko prorektora proponował pan bliskiego zwłaszcza filozofom dra hab. Mieszka Tałasiewicza. Skąd się panowie znają, za co pan go ceni?

Znamy się od momentu, gdy został przedstawicielem niehabilitowanych nauczycieli w senacie. Zwróciłem na niego uwagę, ponieważ jako członek komisji budżetowej napisał tekst nt. gospodarowania środkami uniwersytetu. Pomyślał o tym z troszką wyższego stanowiska, co się rzadko zdarza, i walczył, by dostrzeżono jego punkt widzenia. Został spacyfikowany, ale dał się poznać jako bystry obserwator i ktoś, kto świetnie łączy szybką karierę naukową z zachowaniem kontaktu z rzeczywistością, a w dodatku jest humanistą. Zналиśmy się tylko z senatu, ale tam się szybko zawiązuje taką nić porozumienia, bo takich osób nie ma wiele.

Zwraca pan uwagę na konieczność połączenia „góry”, czyli kampusu na Trakcie, z „dołem”, czyli budynkami przy Browarnej i Dobrej. Jakże miał pan pomysły na to połączenie?

Pomysł połączenia pojawił się zanim wjechały buldożery na teren nowego BUW-u. W Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju były przedstawiane pomysły na windę, na kolejkę jak na Gubałówkę, wyciąg gondolowy, ruchome schody. Natomiast niedawno stało się zupełnie inaczej. Miasto ogłosiło konkurs na Park Kazimierzowski. Z prasy dowiedzieliśmy się, że został rozstrzygnięty konkurs na park rozciągający się od płotu



Dzień wyborów. Tłumy manifestują pod Pałacem Rektorskim

za Pałacem Kazimierzowskim do Browarnej, który w ogóle nie uwzględnia interesów Uniwersytetu. Wprowadza się ogrodzenie, ścieżka poprowadzona jest jeszcze bardziej stromo i wciąż nie ma łatwej komunikacji z góry na dół. Takich zaniechań uniwersyteckich jest mnóstwo.

Co jest więc przede wszystkim zaniedbywane?

Ignoruje się skutki społeczne rozwiązań przestrzennych. A tłumaczenie władzom UW, że sposób aranżacji przestrzeni wykształca relacje społeczne, jest waleniem głową w mur. Mało tego, to, co tu na Ochocie się szykuje, przy wielkiej szansie na wspaniały kampus, jest po prostu urbanistyczną tragedią. Tak się współcześnie na świecie kampusów nie buduje. To się ma do światowych trendów jak Polonez... do Hondy. Projektowanie zgrupowań poprzedzają rozmaite badania i analizy ekonomiczne i społeczne. Proponowaliśmy zorganizowanie konferencji poprzedzającej konkurs z udziałem wybitnych specjalistów w zakresie projektowania obiektów akademickich. Poszliśmy z tym do pani rektor Macukow, która propozycję tę potraktowała lodowato. Inicjatywa została totalnie zlekceważona.

Co powinno być inaczej na Ochocie?

Niestety na Ochocie od lat kumulują się błędy projektowe. Studenci Traktu mają szczęście, że nie muszą na co dzień oglądać obiektu sportowego przy Banacha. Niedawny konkurs urbanistyczny powinien być ogłoszony przed podjęciem decyzji o lokalizacji i bryle budynku CENT-1 będącego gigantyczną zawalidrogą w centrum kampusu. Planuje się budynki, które nie są komplementarne. Gmach Wydziału Fizyki budowany będzie tak, jakby miał stać na pustyni. Jeśli ma być kilka sąsiadujących obiektów, powinno się je ▶



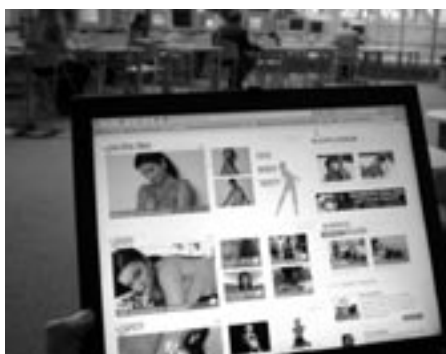
Co ekspremier mógł zobaczyć w BUWie?

śledztwo nieudolne

Mogliby się wydawać, że odkąd Biblioteka Uniwersytecka zakazała drzemek, stosunków, a nawet zdejmowania obuwia, w ascetycznym gmachu powiało nudą. Nic bardziej mylnego.

Niestrudzony poszukiwacz skandali i spisków, jeszcze niedawno miłośnicie nam panujący premier, zakradł się incognito do tej świątyni wiedzy i spenetrował wszystkie zakamarki. Cóż tam zobaczył? Odpowiedź prezydenta („Przykro mi bardzo, ale nie będę państwu tego opisywał, domyście się sami”) nie wydała się nam zadowalająca. Ponadto my domyślne nie jesteśmy, poczułyśmy więc palącą potrzebę weryfikacji opinii szacownego wizytatora. Pikanterii sprawie dodaje kontekst: wizyta, której ekspremier nie jest w stanie wypchnąć z pamięci, wpełchnęła w jego umysł osobliwy obraz internauty – oblesnego piwożłopa poszukującego podniet zmysłowych na stronach pornograficznych – i uczyniła z niego (z pana prezesa, rzecz jasna) zacieklego przeciwnika wyborów on-line.

Wiedzione chęcią odkrycia bolesnej, ale oczyszczającej prawdy, udałyśmy się późnym popołudniem do BUW-u. Trzeba przyznać, że bezustanne zerkanie w monitory cudzych komputerów wprawiało nas w lekkie zażenowanie. Wchodziliśmy w końcu z butami w czyjąś prywatną, zachłannie wygospodarowaną przestrzeń. Przygotowane, a właściwie – bądźmy szczerzy – mające nadzieję na dotarcie do najmroczniejszych, najbar-



dziej splugawionych zakamarków studenckich dusz, poczułyśmy się nieco rozczarowane, gdy po godzinie śledzenia poczyniła naszych towarzyszy żakowskiej niedoli nie dostrzegłyśmy niczego niepokojącego. Tylko grona, hajfajfy, wasze klasy (raczej u pracowników), nie licząc rzecz jasna solidnej i nudnej pracy naukowej. W akcie rozpaczy graniczącej z desperacją, zdecydowałyśmy się zastosować słynną zasadę nieśmiertelnego Bronisława M., czyli metodę uczestniczącą. Bo może zakazany owoc w przybytku wiedzy smakuje inaczej? Coś musiało przecież skłonić tych młodych, zdegenerowanych ludzi rzekomo przyłapanych na gorącym uczynku przez bezwzględного tropiciela do zaspokajania swych żądy właśnie pośród opasłych, poźółkłych woluminów. Najbardziej kuszące, a przy tym w miarę subtelne, wydały nam się Sekrety Izy. I co? Przykro nam bardzo, ale nie będziemy Wam tego opisywały, domyście się sami.

Natalia Kędra i Hania Zakrzewska
kulturoznawstwo

Przejąć KC

akcja Uniwersytet przy Trakcie Królewskim

Kilkudziesięciu profesorów UW podpisało w 1990 r. apel do władz państwowych i użytkowników opuszczonych po zmianie ustrojowej budynków, by zostały one przekazane naszemu uniwersytetowi. Przysięgała im idea, by uczelnia, której bardzo brakowało wówczas miejsca, koncentrowała się wokół Traktu.

Poza budynkami, które mamy, walczyli m.in. o dwa na Krakowskim, jeden obok Teatru Polskiego, trzy na Nowym Świecie, cztery w Alejach Ujazdowskich i jeden na Belwederskiej.

Był też wśród nich budynek KC PZPR. Nie chcąc go dać uniwersytetowi argumentowano, że gmach ten to dobro narodu, bo sfinansowano go został z cegiełek. Jeden z profesorów (jak wspomina prof. Jackowski – podczas golenia) wpadł wówczas na pomysł zgromadzenia ich. W prasie ukazały się ogłoszenia i mimo upływu wielu lat udało się zebrać 20% cegiełek, co stanowiło już poważny argument. Gdy dyskutowano tę kwestię na UW, nieoczekiwanie zamiast swego przedstawiciela zjawił się Tadeusz Mazowiecki. Kategorycznie odmówił przekazania byłego budynku KC, ale za to obiecał finansować budowę nowego BUW-u. A siedząc KC przy Rondzie de Gaulle'a zajęła jak wiadomo warszawska giełda.

Apel profesorów oraz plan, na którym zaznaczono budynki, które mógł przejąć uniwersytet, zamieścił na swojej stronie prof. Jackowski:

www.mimuw.edu.pl/~sjack/opera/apel.jpg
www.mimuw.edu.pl/~sjack/opera/plan.jpg



▶ zaplanować tak, by mogły z nich elastycznie korzystać różne jednostki jako przestrzeni wspólnej, tak jak ze starego BUW-u. Tymczasem każdy z budynków ma w planach swój mały bufecik, a nie ma jednego centralnie położonego miejsca, gdzie są różne kuchnie, restauracje i usługi, które zapewniają różnorodność i konkurencyjność, gdzie ludzie z różnych jednostek w naturalny sposób się spotykają. Zignorowano postulat modernizacji akademików. Wszystko to ma negatywne skutki ekonomiczne i społeczne. Zaprzepasza się szansę na zbudowanie nowoczesnego, pięknego kampusu XXI wieku.

Na ikapie doszliśmy do wniosku, że ukute przez b. premiera hasło „imposybilizmu” świetnie tu pasuje, bo jakikolwiek pomysł jest kwitowany przez „nie da się”.

Tak, albo po prostu ignorowany. Przy czym to się załatwia na ogół w ten sposób, że najpierw się długo nic nie robi, potem robi się na ostatnią chwilę byle jak i wychodzi, że się nic nie da. Tak było z projektem budynku CENT-1, zamówionym rzekomo z powodu braku czasu bez konkursu. Tyle że koncepcja leżała w szufladzie dwa lata.

W kontekście wczorajszych wyborów żal panu Uniwersytetu?

Tak, żal absolutnie. W dzisiejszych czasach władze centralne Uniwersytetu mają ogromną rolę do odegrania. Tymczasem zapewne w centrali pogłębi się stagnacja.

Nieprzemyślane inwestycje mogą spowodować kłopoty finansowe. Spadek pozycji naukowej w światowych rankingach będzie coraz powszechniej zauważany. Żal mi traconych szans, pomysłów które nie zostaną zrealizowane. Żal mi od dawna, a teraz jeszcze bardziej.

Witek i Naczel



Prof. Stefan Jackowski

matematyk, specjalista od topologii algebraicznej,
w 1990 r. współtwórca akcji Uniwersytet Przy Trakcie (więcej o tym powyżej)

Zobacz uwagi Komisji ds. Organizacji i Rozwoju Przestrzennego dotyczące planów kampusu Ochota: http://duch.mimuw.edu.pl/~sjack/korp/stan_ochota.pdf

Kronika policyjna

patrolowe zapiski

W gablocie bezpieczniej

W połowie marca na niskim parterze gmachu IKP naprzeciwko szatni ujawniono nową legalną gablotę studencką. Gablota wyposażona jest w zamknięte na klucz przeszklone drzwi oraz powierzchnię do umieszczania ogłoszeń. Zafundowana przez Dyрекcję IKP, ma służyć informowaniu o zbliżających się konferencjach, konkursach, wyjazdach i wszelkich innych wydarzeniach związanych z tzw. studenckim ruchem naukowym. Oprócz tego przeznaczona jest również do wywieszania ogłoszeń samorządu studenckiego i zaproszeń na różne oddolne inicjatywy studenckie. W ten sposób każdy student IKP będzie mógł sprawdzić, co się dzieje w „sprawach studenckich” bez ryzyka, że coś ważnego zostało przykryte lub zdjęte (tak działo się często na tablicach ogólnodostępnych). Oczywiście, nowa gablota nie zastępuje, lecz raczej uzupełnia dotychczasowe plansze informacyjne, w tym przede wszystkim wiszącą przy wejściu do Ikapu niewielką tablicę korkową, tradycyjnie zarezerwowaną dla kół naukowych. Uruchomiona bez większego rozgłosu, nowa gablota szybko zapełniła się ogłoszeniami.

Wrócił na ulicę

31 marca na swoje miejsce na Krakowskim przy pomniku Kopernika wróciła szklana kostka z reprodukcją obrazu Canaletta, czyli jak dotychczas jedyny wyprodukowany nośnik znaczeń z zaplanowanej całej serii brył z widoczkami z KP z XVIII stulecia. Po prawie półrocznej nieobecności na Trakcie i intensywnej terapii w Sanatorium dla Szklanych Mebli Miejskich, Canaletto miał przybyć do tego rzekomego salonu Warszawy, jakim jest wyremontowane KP, w blasku i chwale: z zaokrąglonymi krawędziami, wygładzonymi powierzchniami, poprawionym podświetleniem. Powrócił jednak taki, jakim go zabierano z ulicy jesienią zeszłego roku, a prasa spekuluje, że jego stan wręcz się pogorszył. Może źle się czuje w obecności dominującego nad nim Kopernika, zwłaszcza po tym, gdy wokół tego ostatniego zaczęły krążyć po chodniku planety.



Inspektor Buko
dzielnicowy Traktu

Insp. Buko pełni dyżur interwencyjny co środę w godz. 13.15–14.45 w pokoju przesłuchań nr 14 w gmachu IKP.

Sauna na Karowej

jeszcze jedno śledztwo

Szanowny Redaktorze Naczelny, z przyjemnością raportuję, że dziennikarskie śledztwo w sprawie sauny w budynku Instytutu Socjologii przyniosło następujące rezultaty:

Jest.

Z poważaniem,

Oskar Żyndul

P.S. A dokładniej: jest i działa. Można nawet przyjąć i skorzystać. Wystarczy zstąpić w najgłębsze czeluście budynku przy Karowej 18 i poinformować panią pilnującą siłowni, że chcielibyśmy z rzeczonoj sauny zrobić użytek. Jest to możliwe w dni powszednie w godzinach 17:00–21:15 i w soboty między 10:30 a 13:30. Jednorazowe wejście (dla studentów UW) kosztuje 7 zł, ale można wykupić karnety na 10 i 20 wejść oraz karnety miesięczne (odpowiednio 55, 90, 70 zł).



ASP: pożar trwa

Akademia Sztuk Pięknych ciągle płonie. Spokojnie, nie lećcie po gaśnice – płonie w ramach akcji „Pożar na ASP”. Wykładowcy i studenci nie ustają w próbach utrzymania uczelni w jej dotychczasowej – ba, tej samej od ponad 60 lat – siedzibie.

Przypomnijmy: w 1994 roku o grunty pod barokowym pałacem Czapskich upomnieli się spadkobiercy przedwojennych właścicieli – Raczyńskich. Tymczasem budynek ten, który ASP otrzymała w 1946 roku, od 1950 należy oficjalnie do Skarbu Państwa. Wydawać by się mogło, że Raczyńskie nie mają do gmachu żadnych praw. Niestety dwa lata temu ówczesny minister budownictwa unieważnił decyzję z 1950 roku i uznał roszczenia spadkobierców. Władze ASP dwukrotnie zaskarżyły ten „wyrok”, ale i ministerstwo budownictwa, i Wojewódzki Sąd Administracyjny skargi odrzuciły.

Ostatnio inicjatywa obrony siedziby Akademii jest trochę mniej widoczna (a może po prostu żadne wieści nie dochodzą do zbyt zaję-



tych sobą studentów UW), postanowiłam zatem dowiedzieć się od jednej z inicjatorek Komitetu Obrony Akademii, doktor Doroty Optułowicz-McQuaid, jak się sprawy mają.

Otóż mają się następująco: Najwyższy Sąd Administracyjny odrzucił apelację uczelni, w związku

z tym Komitet wystąpi o sprawę do sądu cywilnego. Akademia uzyskała natomiast zapewnienie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, że sprawę uczelni traktuje priorytetowo. Nie jest to oczywiście żadna gwarancja sukcesu, ale pozwala mieć nadzieję, że coś się ruszy (w końcu traktujemy polityków i ich obietnice poważnie). Komitet liczy, że Bogdan Zdrojewski wstawi się za szkołą u premiera i że spróbuje wypracować jakiś kompromis. Dr Optułowicz podkreśla, że Akademia nie powinna być stroną w konflikcie, ponieważ jako uczelnia państwowa nie jest właścicielem budynku. KOA nie kwestionuje również prawa spadkobierców do odszkodowania – wręcz przeciwnie, uważa, że rekompensata im się jak najbardziej należy, ale niekoniecznie „w naturze” i nie kosztem państwowej uczelni. Mało prawdopodobne jest bowiem, żeby Raczyńskie powróciły z Anglii, gdzie na stałe mieszkają i wprowadziły się na Krakowskie Przedmieście 5. Podejrzewam, że nie miałyby wtedy łatwego życia...

Najsmutniejsze jest to, że za nie rozwiązane problemy prawne państwa cierpią pracownicy i studenci ASP – ludzie, którzy nie traktują swojej uczelni jedynie jako anonimowego gmachu, czy tylko jako miejsca pracy i nauki, ale są z nią emocjonalnie związani i szukają w niej natchnienia. Nie można ich tego pozbawiać. A i studenci UW chcieliby chyba, aby Krakowskie Przedmieście zachowało akademicki charakter. Wyrzucając stąd ASP, zlikwiduje się ośrodek kultury i sztuki w centrum stolicy. Pokażmy, że się na to nie godzimy i przybądźmy tłumnie pod koniec tego roku akademickiego na kolejny „Pożar na ASP”.

Hannah Zakrzewska akswewrkaz
kulturoznawstwo

Studencka sztuka (nie)gotowania

o stołówce na UW rozmowa z germanistą Grześkiem, znanym jako „Extra Brąks”

Zanim zaczniemy nasz wielce poważny temat, przybliż nam trochę swoją skromną osobę.

Jestem zwykłym przeciętnym studentem i do tego małymównym (śmiech). Jestem z Warki. To mała miejscowość kojarzona z tym co student lubi najbardziej. Studiuję wspaniały przyszłościowy kierunek germanistyka (śmiech). Do domu jeżdżę przeważnie raz na 2 tygodnie i jeżeli się skończą pieniądze, czyli co tydzień.

Tak szybko wydajesz pieniądze?

W Warszawie jest tyle pokus typu kluby, puby, do tego automaty z kawą, kary w bibliotece, komunikacja miejska i oczywiście kserówki – raz na pół roku trzeba przecież notatki skserować.



Jadasz w stołówce uniwersyteckiej.

Rodzice kazali mi od razu po przyjeździe do Warszawy wypytać o stołówkę. Żywiłem się tam przez prawie cały zeszyły rok i w tym roku dwa miesiące, mniej więcej cztery razy w tygodniu. Rodzice mi mówili, że tam pewnie zdrowo, tanio i najbardziej się najem, a zresztą znajomi też tam jedli.

Czy smakuje ci tamtejsze jedzenie?

Nie jestem wybrednym typem. Co dają to jem. Mina mi zrzedła, jak zobaczyłem pierwszy raz kaszę. Zapytałam kucharek czy jest alternatywa, a one na to: „Jest, ale dzisiaj je Pan kaszę, bo nikt inny nie chce brać kaszy, a ona jest przecież taka zdrowa”. Reszta mi smakowała. Za osiem złotych zupa i drugie danie z mięsem i surówkami, i jeszcze kompot... Kompoty tam są bardzo dobre, jak na obiedzie u mamy.

A atmosfera?

Niemalże szpitalna. To znaczy, na pewno miejsce ma swoją atmosferę – jest głośno, niektórzy mlaskają, słychać czasem cudzoziemców. Pierwszego dnia podszli do mnie tacy dwaj i zapytali co jem i czy dobre. Odpowiedziałem swoim pięknym angielskim „very good”, ale że nie wiedziałem niestety jak jest zupa zacierkowa, więc pokazałem im palcem na menu.

Kto przychodzi tam na obiady?

Przeważnie są to studenci spoza Warszawy –

z akademików, mieszkań studenckich. Tacy, którym, podobnie jak mi, zbyt trudno jest coś ugotować... bo to jest naprawdę wielka sztuka! Nie należę do takich artystów. Nie no, wodę na herbatę czasem ugotuję, czasem coś odsmażę. To, co przywiozę z domu od mamy, albo co kupię – frytki, warzywa na patelnię...

To wygodniej już pójść na stołówkę, gdzie można dostać wszystko gotowe...

Dokładnie. Można też zawierać nowe znajomości. Poznałem tam często ludzi z mojego wydziału, nawet kierunku, a czasem nawet grupy, których wcześniej nie kojarzyłem. Poznałem się też znajomych znajomych. Wielu ludzi (nie pokazując palcem na Ciebie, Olu) przychodziło w celach niezwykle towarzyskich, ponieważ kolega lub koleżanka pożywiali się w stołówce. Przychodzili a to z jogurcikami, a to z bułeczką, kanapką, pączkiem... Jestem też trochę taki miłośni samarytani, bo np. nie przepadam za zupami, więc zabierałem jakąś bidulkę, żeby odstąpić swoją abonamentową zupę.

A jadają tam profesorowie?

Czy są to profesorowie, czy zwykli pracownicy uniwersytetu, nie orientuję się, ale jada tam sporo osób po sześćdziesiątce, a nawet trochę starszych.

Zdarzały się pogawędki z nimi?

Pewnie. Zazwyczaj o drugiej wojnie światowej, o czasach komunizmu, że wtedy nie było łatwo, że wtedy była tylko musztarda i ocet. Ponadto warto by nadmienić, że na stołówce można spotkać ikony germanistyki, to znaczy naszych profesorów – szczególnie jednego doktora – jest tam stałym gościem,



stałym jadalnikiem, że tak powiem (chyba stworzyłem właśnie neologizm).

Przysiadłeś się kiedyś do niego?

Nie. Nie przepadam za sobą. Po prostu za często mnie pyta.

Jakieś śmieszne zdarzenia? Upadki?

Raczej nie. Zdarzało mi się za to czasem stawiając zupę wylać połowę a nawet do 3/4, ale jakoś bardzo się tym nie przejmowałem, bo za zupami nie przepadam.

Jak ocenisz obsługę?

Bardzo specyficzna. Wydawało mi się, że mieli swoich ulubieńców i ja raczej do nich nie należałem. Pani na kasie raczej niemila. Nie tryskała uwielbieniem w moim kierunku. Przypomina mi panie w sekretariacie. Zawsze mnie opieprzała, że za późno karnet, że coś tam niewypełnione. Zresztą przez pierwszy miesiąc byłem nieświadomie sprytny albo raczej niepełnosprytny, bo choć miałem karnet to nie poka-

zywałem karteczek, a brałem obiad. Nikt mi nie wytłumaczył, że się je pokazuje.

A kucharki?

Kucharki są fajne. Są dwie młodsze i jedna starsza, która przypomina mi moją mamę – zawsze pyta, którą sałatkę chcę, po czym i tak zawsze daje tę, której ma najwięcej.

Jak się żywią twoi współlokatorzy?

Chłopaki z którymi mieszkam żywią się w różnych instytucjach np. Pizza Hut, KFC, McDonald też jest spoko. Ale zaglądają też na moją półkę w lodówce. I z wałówek na cały tydzień rzadko coś znajduję na drugi dzień. Najbardziej lubią podjadać sałatki mojej mamy – ogórkową i paprykową.

A co ty na to?

Też im coś zjadam (śmiech). Najchętniej przeróżne konserwy, ser żółty oczywiście. Reprezentuję pogląd, że ser żółty musi być w domu. Chleba może nie być, książek może nie być, ale ser musi być! Koniecznie z dziurami, bo one są najsmaczniejsze w całym serze. Co kupię to im zjem, nie wybrzydzą.

Po co właściwie student musi jeść?

Samą nauką się nie żyje (śmiech). Student musi jeść, żeby się nie uczyć. Coś musi robić. Studenci narzekają szczególnie na brak ruchu, więc myślę, że zdrowe jedzenie jest

jak najbardziej na miejscu. To jest moje pytanie życiowe – dlaczego te najmniej

zdrowe rzeczy są takie dobre, smaczne, ja tego nie rozumiem (śmiech). Ja się poddaję. Pizza to moje ulubiona potrawa, ale wiadomo – fastfood, tłuszcz...

Jak podchodzisz do jedzenia?

Oczywiście jedzenie to moje hobby. Już w liceum krążyły o mnie różne plotki i hasła typu: „Nie możesz dojeść, daj Grześkowi”. Więc byłem znany i zauważalny (śmiech).

Ale też ze swojej tuszy?

Jakiej tuszy? (śmiech). Z dobrego apetytu i niewybrzydzenia. Nie no oczywiście, że się kiedyś odchudzałem – godzinę, dwie, ale moje motto brzmi: „Już się odchudzam, ale jeszcze coś zjem”.

Ola Popiołek
angelologia i germanistyka

Stołówka jest otwarta od 13 do 16.30 i znajduje się na prawo od bocznej bramy. Zainteresowani abonamentem muszą udać się na mały dziedziniec i poprosić o karnet na wyżywienie, to jest karnet na cały rok z podziałem na miesiące. Kasza jest bardzo zdrowa, ma dużo magnezu, mimo że nie posiada jednak zbyt wielu walorów smakowych, a jak ktoś nie wierzy, że jest zdrowa, niech się spyta pani ze stołówki.

Dziady

ptakom niebieskim

Rednacz zdybał mnie w wąpiach budynku przy KP3, dopytując o wiosenną orkę na „Traktorze”.

Wyjaśnił, że poprzedni numer był matriarchalny, następny jednak nie ma wyraźnego profilu (rozumiem, że – zgodnie z wieloletnią tradycją – jeden numer marcowy bywa matriarchalny, żeby pozostałe trwały w patriarchacie?). Przeszyty mim pytającym spojrzeniem wystękał (z właściwym mu wdziękiem) coś o Dziadach i rocznicy ich wystawienia. Czemu nie? Może być i o Dziadach. Z westchnieniem odłożyłam więc kolejną nabytą właśnie książkę na „półkę na nieprzeczytane nowości” (to piękne określenie Lema), żeby o dziadach coś napisać. Ale nie o tych Adamowych, których co roku o tej porze wszędzie pełno. Myślę raczej o dziadach, o jakich pisał w Zegarze słonecznym Jan Parandowski, zastępując to niepochlebne słowo określeniem „ptaki niebieskie” (zob. Biblia, Mt, 6, 26). Miał Lwów swoje ptaki niebieskie, ma i Warszawa. Przez lata całe pojawiały się takie postacie w okolicach uniwersyteckiego kampusu, niektóre zaś wybierały sobie na rezydencję poszczególne wydziały. Zasługują na przywołanie z mroków niepamięci, choćby w podzięce za swą barwność, lojalność i wierność uniwersytetowi.

Bywał na wydziale filozofii zamczysty starzec, odziany „na cebulkę” (coraz bardziej pękaty; najwyraźniej niczego nie wyrzucał, a tylko na siebie dokładał), zwany Sokratesem. Fama niosła, że pracownicy przynosili mu obiady, dożywając nieboraka. Wszedłszy pewnego poranka do sali 10A na zajęcia, ujrzałam Sokratesa przydującego u stołu dydaktycznego i uśpiołego słodko. Zaraz też „cofnęło mnie jak figurę w szachach” (jak mówi poeta), bo Sokrates niewielką zdradzał troskę o higienę osobistą (nie dziwota – zdjąć z siebie tyle warstw odzieży, a potem znów je wkładać!). Usiłowaliśmy go delikatnie dobudzić (zmieniając się co dwie minuty, z oczywistych przyczyn), co w końcu się powiodło. Lecz nie był zadowolony, o nie! Od tej pory sala 10A nie wywołuje we mnie asocjacji związanych z zajęciami bądź studentami, tylko wspomnienie barwnej postaci starca; zwłaszcza że przez lata niewiele się w niej zmieniło z wyjątkiem krzesel i przeklętych wertikali (ze skłonnością do tzw. oberwunku). Tu pewien pomysł: mają różne sale w IF swych patronów, może by nadać sali 10A imię Sokratesa?

Całkiem inny typ reprezentował niebieski ptak z polonistyki, z racji swej czarnej i dookolnej brody zwany Rumcajsem. Zawsze ubrany elegancko, lecz z pewną nonszalancją, w sztruks i tweed, często pojawiał się na wydziale, grając główną rolę w różnych wydarzeniach. Najbardziej utkwił mi w pamięci jego występ podczas zorganizowanego przez koło młodych polonistów spotkania z Czesławem Miłoszem. Rumcajs płonął chęcią intelektualnego obcowania z poezją i jej twórcą, toteż ani prośbą, ani groźbą nie dał się namówić do opuszczenia sali. Miłosz w końcu zaproponował, żeby go zostawić, najwyraźniej rozbawiony całą sytuacją. Rumcajs podziękował mu gromkim okrzykiem, po czym zasiadł godnie w środkowych rzędach (rzecz działa się w Audimaxie). Siedział spokojnie, chłonąc słowa mistrza, lecz z czasem zapragnął wziąć aktywny udział w spotkaniu. Co jakiś czas podrywał się więc wykrzykując donośnie:

- Czesławie, jesteś wielkim poetą!
- Czesławie, ja też jestem poetą! Przeczytam Ci swój wiersz, chcesz?

Najwyraźniej jednak werbalne wyrażenie uczuć wydało mu się niewystarczające, toteż podszedł raz i drugi do stołu, by wręczyć Miłoszowi w darze a to liść jesienny, a to kiść jarzębiny. W napięciu czekaliśmy wszyscy, czy nie przetrzuci się z flory na faunę, ale nie była to jeszcze epoka projektów artystycznych „zabić poetę zwierzęciem”. Całe spotkanie Rumcajs zakończył okrzykiem z głębi trzewi:

- Czesław, ja kocham cię!

Na marginesie dodam, że wyczyny Rumcajsa na szczęście do pewnego stopnia odwracały uwagę Miłosza od wypowiedzi niektórych z polonistów, co to lepiej niż sam autor potrafił zinterpretować jego teksty, wiedzieli bowiem „co poeta chciał przez to powiedzieć”.

Przy kościele Świętego Krzyża natomiast, od strony apteki i IFK, przez długi czas rezydował kolejny niebieski ptak, zbierając grosz do grosza na codzienne wydatki. Niekiedy siedziała wraz z nim pewna pani, zazwyczaj jednak towarzyszył mu piesek – zabawny kundelek. W niepogodę troskliwy właściciel – sam trwając na posterunku – dla swego pupila znajdował widocznie cieplejsze i wygodniejsze lokum. Świadomy jednak istotności desygnatu, stawiał koło siebie pluszową maskotkę-pieska, niemilośnierznie wyszmudraną.

Takie to „dziady” przypominały mi o sobie. Zniknęły gdzieś, podobnie jak i inne podobne im postacie. Niekiedy pojawiają się kolejne, lecz na krótko. Może Pałac Prezydencki za blisko?

Kim jest dziad? Czy to tylko zagrzybiały starzec? A co ze słowiańskim, pełnym powagi „dziadem” i poprzedzającym go „pradziadem”? Skrył się w zaroślach przeszłości zastąpiony potulnym „dziadkiem”.

Dziś szukamy więc tych Dziadów – ojców ojców. Rzadko udaje się dziadowi być owym dostojnym Dziadem z klasą. Ale poszukamy i znajdziemy Dziada również w tych, którzy czasem w pokorze na ulicy grają melodie obojętnym tłumom, w tych, którzy stoją po zupkę, bywa, że brudni okupują dworcowe ławki, a czasem zabłąkają się na uniwersytet. Również w nich tkwi gdzieś głęboko Dziad. I zawsze Dziada mogą stać się godni. Ale ten Dziad ukryty na coś czeka. Na miłość i szacunek.

Naczel



Magystra Inga



Dziady

czyli modele atrakcyjnej starości

A co, chuję niemyte, myśleli, że będą żyć wiecznie?
– król Prus do żołnierzy niechających uczestniczyć w ataku

Spodobała mi się myśl, iż podobnie jak wartości moralne mogą rozbrzysnąć pełnią swego blasku jedynie w perspektywie transcendencji, tak też człowiek szczególnie sexy może stać się dopiero wówczas, gdy osiągnie wiek odpowiedni, czyli dziadowski.

I na tyle się ideą Dziadostwa przejąłem, że ten tekst chciałem właśnie temu zagadnieniu poświęcić, mimo że przez to znowu przesunie się publikacja rozprawy pt. „Włosy w uszach, czyli studium sikowatej beczczelności”, który obiecałem sobie w związku z osobą pewnego durnia. No ale dziady, dziady najpierw – zwłaszcza, że mamy taki świetny pretekst jak 40 lat od marcowych dziadów 68, i kilka dni po pogrzebie Gustawa Houellebecqa [umarł gustaw, a gdzieś pewnie narodził się konrad].

Oczywiście są dziady i są Dziady. Przy czym tych pierwszych z natury rzezy jest znacznie więcej. Dziad małą literą to ontologiczna nędza, pośmierdowanie sikiem i trupkiem. Taksówkarz nigdy Dziadem nie będzie – bo Dziad to jest coś mocnego, Dziad ma dystans do życia, Dziad kielzna śmierć, Dziad ma poważną aksjologię, każdy Dziad to inny wszechświat... I tymi drugimi chciałem się zająć.

Tyle, że najlepiej byłoby im samym oddać głos. Plan pojawia się więc taki – teraz wymienię z nazwiska kilku dziadów, którzy mogliby coś sensownego powiedzieć, potem czytelnicy głoszą z kim rozmowę robić, a z kim nie. A w następnych odcinkach co jakiś czas kolejne wywiady będą publikowane.

Do wywiadu nominacje jak w banku mają – Starowieyski, kard. Macharski, Wolniewicz. Nikomu tych czcigodnych starców przedstawiać nie trzeba. Można by jeszcze dorzucić jakiegoś starego generała-dyktatora z jakiegoś egzotycznego państewka. Do tego jakiegoś aktorzyne – np. Brad Pitt – w jego przypadku trzeba raczej odpowiadać sobie na pytanie, jakim dziadem będzie za lat 50 (czyli raczej Dziad Pitt). Przydałby się może jeszcze jakiś murzyn – najlepiej muzyk – więc może muchowy brzęczący Miles Davis? Może uda się przy wywiadzie abstrahować od jego nie-życia. Mogła by być do tego ewentualnie jakaś kobieta. Może np. Herer za lat ileś tam? I jeszcze przydałoby się uwzględnić geja – proponuje Wittgensteina III.

Czekamy na decyzje czytelników.

Młodzki

Ludzie ciekawi świata Aleksander ciekawy Ludzi



21.04.2008 r. - Warszawa - godz. 17.00
Pomnik Adama Mickiewicza

Czytamy Wielką Improwizację!

O. Ziolo

**Pan z barku na III piętrze
Instytutu Socjologii**

Co czyta?

„Fizjologi i Aviarium. Średnio-wieczne traktaty o symbolice zwierząt”

Kobielus Stanisław przekład i oprac.
Wydawnictwo: Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ISBN: 83-7354-107-1, rok: 2005,

Aleksander zatem rekomenduje.

Aleksander Z. Ziolo
czyli stary dobry oloziolo



Bullet Time

by wytwórnia chłopaków z UW

Film o masakrze na UW nakręcili Michał Wiśniewski z filozofii (reżyser, aktor) i Janek Kuncewicz z anglistyki (aktor). Za dwa tygodnie zaczynają montaż. Być może na przełomie maja i czerwca „Bullet Time” zobaczyć będzie można na youtube i w Muranowie.

Jaki skutek ma odnieść wasz film?

Michał: Będę zadowolony, jeśli ludzie wyjdą z kina, powiedzą, że to był dobry film i że wywołał silne wrażenie. Być może jeśli kogoś przestraszy. Staram się zrobić dobry film psychologiczny.

Janek: Choć najpierw widziałem to jako szansę zaistnienia w świecie kina amatorskiego, potem pojawiła się myśl, że może uda się uratować paru ludzi przed popełnieniem takiego głupstwa.

Czemu zainspirowała was właśnie masakra?

Na początku chciałem zrobić po prostu amatorski film. Uznałem, że to dobry sposób, by nakręcić film amatorską ręczną kamerą tak, by ewentualne błędy moje czy aktorów wyglądały naturalnie, były częścią filmu, a nie niszczyły go. Gdy zacząłem się bardziej interesować tematem, zainspirowała mnie sprawa tych nie udostępnionych do bodajże 2025 r. nagrań z Columbine. Potem wciągnął mnie aspekt czysto psychologiczny i społeczny tego typu zachowań. Że nie są to wyłącznie oderwani ludzie, wyłącznie schizofrenicy. Wręcz odwrotnie, to ludzie, u których nigdy nic nie zdiagnozowano. Zaciekało mnie też, że jest to fenomen, który się zaczął w najbardziej zaawansowanym technologicznie i społecznie państwie na świecie i który rozprzestrzenił się idąc coraz bardziej na wschód, również w kierunku Polski.

„Schemat się powtarzał, z tym, że rzadko było ich dwóch. Zazwyczaj jeden facet, szkoła średnia lub kampus, choć były też strzelaniny w tzw. middleschool. Większość z nich po zabiciu kilku osób popełniała samobójstwo. Ale były też dużo poważniejsze – na Virginia Tech w 2007 r. Cho Seung-Hui zabił 32 osoby, a następnie popełnił samobójstwo.

Niestety przeniosło się to do Europy. W Erfurcie dziewiętnastolatek zabił 13 nauczycieli, dwóch uczniów oraz policjanta, po czym sam się zastrzelił. W listopadzie w Finlandii facet zabił 8 osób, m.in. dyrektorkę swojego liceum, i też się zastrzelił. Nie powiem, że znałem tego gościa z Finlandii, ale widziałem jego posty w internecie – kręciłem już wtedy film. Obracałem się wówczas w dość specyficznych kręgach na youtube. W kręgach policjantów, ludzi, którzy badali te przypadki. Ale znalazłem też grupy fanatyków, którzy się modlą do takich zabójców. Ten facet należał do jednej z nich. Myślałem – to taki szpaner, chce trochę postraszyć innych ludzi, ale sam nigdy nic nie robi.

Gdy byłem w połowie kręcenia filmu, dokonał tej masakry, co w niewielkim stopniu zmieniło moją koncepcję. Odstąpiłem to jedną dziewczynę, która miała grać dużą rolę żeńską. Ja miałem przeciwne odczucia. Stwierdziłem, że nie mogę przerwać tego filmu i chować głowy w piasek, bo potem nie będę mógł spojrzeć w lustro. Wiem, że niektórym taki film może pomóc, może dać szansę na zastanowienie się, spojrzenie z bezosobowej perspektywy. Nie mówię, że zbawię świat, ale jeśli kilku skurczysynom utrudnię trochę życie albo kogoś z tego wyciągnę, to warto.” (mw)

Dwóch przyjaciół, studentów. Dwa pistolety, jedna strzelba. Jeden kampus – Uniwersytet Warszawski. Jedna masakra. Czy to kontynuacja poprzednich? Sami oceńcie.

Michał Wiśniewski

„Masakra w Columbine jest chyba najbardziej znaną tego typu masakrą na świecie. W Stanach stała się symbolem i pociągnęła za sobą kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt mniejszych masakr. Różniła się od nich tym, że dokonało jej razem dwóch kumpli. 20 kwietnia 1999 r. na kilka miesięcy przed ukończeniem liceum weszli do swojej szkoły uzbrojeni w dwie strzelby, karabin i półautomatyczny pistolet. Zabili 12 uczniów, jednego nauczyciela, wymienili ogień z policją. Zaraz potem popełnili samobójstwo. Wszystkie swoje przygotowania nagrywali na swojej kamerze. Te nagrania (z wyjątkiem nagrań strzelania do drzew) to jedyny element dowodowy, który ze względów bezpieczeństwa nie został udostępniony społeczeństwu. Łączy się z tym forma mojego filmu. 90% kręcone jest z perspektywy kamery trzymanej przez któregoś z dwóch zabójców.” (mw)

Po co przenieść to na polski grunt?

Janek: Gdy po wakacjach kręcenie było już w środk

„Są dwa duże filmy poruszające tego typu problematykę. „Zero day” zna tylko wąskie grono zainteresowanych. Bardziej znany jest „Elephant” Gusa Van Santa, według mnie bardzo dobry technicznie. Natomiast brakuje mi w tym filmie treści. Moim zdaniem, mało on wyjaśnia, a poprzez bardzo dobrą pracę kamery, świetne ukazanie ruchu cienia i światła oraz przez porażającą ostatnią scenę, w której zabójca celuje do dwóch ludzi i robi wyliczankę – kogo następnego zabić, ten film gloryfikuje trochę zabójców. Ten film uświadomił mi, że czegoś takiego nie chcę.” (mw)

- na pamiątkach, okazało się, że rury, które kupiliśmy w sklepie, były za wąskie. Zamówiliśmy ponadto koszulki, które były dokładną kopią koszulek zabójców z Columbine. Chciałem pokazać trend copycat effect, kiedy poprzedni zabójcy inspirowali kolejnych.

Jak radziliście sobie jako aktorzy?

Janek: Od pierwszej klasy podstawówki grywałem w teatrzykach szkolnych. Na anglistyce działałem w grupie teatralnej Cheerful Hamlets. Nie grałem dotąd tylko w filmie. To interesujące doświadczenie, ale czasem po wyjściu z tej dość specyficznej roli czuję się trochę wyżuty.

Michał: Nie mam doświadczenia aktorskiego i dlatego na początku nie chciałem grać, ale okazało się, że nie mieliśmy aktorów, którzy poświęcą tyle czasu. Dzięki temu jednak nie musiałem robić szczegółowego scenariusza i wychodziło naturalnie.

Długo się znacie? Realizowaliście wcześniej takie przedsięwzięcie?

Michał: Znamy się od około 22 lat. W zasadzie od kojca. Rodzice wrzucali nas do niego, gdy chcieli sobie pogadać.

Janek: Próbowaliśmy razem coś napisać, ale wychodziło różnie. Kiedyś próbowaliśmy zrobić też gierkę RPG. Film to pierwszy projekt, który pchamy do końca.

Co nakręciliście na Trakcie, a co na psychologii?

Michał: Jest krótka scena, jak jeden z nich przechodzi przez bramę UW i inna, gdy obaj siedzą na wykładzie z historii Stanów Zjednoczonych. Po psychologii chodzą najpierw, by jeden z nich (z filozofii) poznał teren. Potem na korytarzu ma miejsce scena końcowa.

Jak reagowali na was studenci?

Janek: Neutralnie. Niektórzy wchodzili nam pod kamerę. Tylko dwa albo trzy razy ktoś się wystraszył, że to się dzieje naprawdę.

Michał: Bo nie wnosiliśmy żadnej broni, nie odpalaliśmy ładunków pirotechnicznych.



Mieliśmy tylko atrapy typu airsoft. Nie ma na filmie ognia z lufy, wszystko się dzieje obok kamery. Bardzo mnie wkurzają ludzie na youtube, którzy z filmów często artystycznych wycinają takie rzeczy, dorzucają agresywną muzykę i robią taką kapliczkę dla zabójców. To nagminne. Chciałem takim ludziom utrudnić zrobienie czegoś takiego z moim filmem. Dlatego te sceny są kręcone zazwyczaj z kamery, która wisi na nadgarstku zabójcy i buja się. Widać wtedy posadzkę, nogi zabójców i innych ludzi.

Co w filmie jest nowatorskiego pod względem formy?

Michał: Dokonujemy tu mieszanki stylów. Wśród różnych scen mamy takie, w których obaj siadają i mówią: „no dobrze, teraz będziemy mówili właśnie o tym”, i sami robią z tego teatr, bo mają świadomość, że ktoś to przecież ma zobaczyć, choćby policja. Często łamią tę czwartą ścianę. Robią nawiązania typu: „media zrobią pewnie z nami to a to, potną nasz film itd.”. Jest scena, gdy zwracam się przez kamerę do dwóch prawdziwych nastolatków z USA, którzy przygotowywali taką maszkę, lecz w porę zostali zatrzymani przez policję. Chcemy ponadto zaciemnić trochę granicę między fikcją a rzeczywistością. Nasi bohaterowie są fikcyjni, ale poruszają się po prawdziwych miejscach, komentują prawdziwe wydarzenia z mediów. Będzie też prolog w stylu filmu dokumentalnego, wywiadu z ludźmi, którzy przeżyli tę maszkę.

Naczel

Gnychowy geszeft nowy

ty też możesz siedzieć w kiosku

A teraz krótka piłka do Maćka Gnyszki, studenta z socjologii i innych architektur, który otworzył kiosk internetowy na maciejgnyszka.nexto.pl i nabija kabzę m.in. na prestiżowym czasopiśmie „Fitness Authority” oraz książkach „Lalka” i „Kto mi ukradł mój ser”.

Ile legendarnych kokosów zbiłeś na tym swoim kiosku?

Całe błyszczące, a także dźwięczące 1,15 zł przy ponad 500 odwiedzinach.

Ło Panie! Co ty se pan za to kupisz?

Jeszcze drugie tyle i będzie na wakiki.

A czym ty tam pan handel prowadzisz?

Jak to czym? Gazetami: od „Wprost” po „Windsurfing” i jeszcze milionem e-booków i różnych takich.

A po co ty nam tu o tym panie gadasz?

Ano po to, żeby sto milionów mieć (bo Wałęsa tylko obiecał), i je z pożytkiem wykorzystać – państwo moje zawojować, dobre kierunki działania wspierać oraz zbożne cele. A co! Bogata Gnyszka to bogate inne ludzie – od samotnej matki po odsuniętych polityków*.

* Rzeczywiście, jak wynika z dokumentów, które audytowała nasza Redakcja, pan-grzyzga co roku dostaje podziękowania od mieszkańek Domu Samotnej Matki w Chyliczkach. Skądinąd warto wspomnieć, że Janusz Korwin i Marek Jerzy dziękują tylko niekiedy.



Gnyska przypisywany prawicową prasą (i Rzepą) oraz przysięgnięty przez Traktor

Chi Kwadrat

czyli koło (i nie ma błędu w tym rachunku)

„Chi Kwadrat to młode koło naukowe zrzeszające studentów różnych wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego. Wszyscy interesujemy się badaniami marketingowymi. Jedni chcą związać z tą dziedziną swoją przyszłość zawodową, inni traktują ją wyłącznie jako hobby. Koło stworzyliśmy po to, aby nauczyć się profesjonalnie badać rynek”. Tak piszą sami o sobie. Ale o co naprawdę chodzi?

W grudniu 2004 roku kilku studentów III i IV roku socjologii (z ISu) stwierdziło, że chcieliby w praktyce poznać metody stosowane przez profesjonalnych badaczy rynku. Do swojego projektu przekonali dra hab. Jana Poleszczuka (został opiekunem naukowym koła), który od lat współpracuje z polskimi firmami badawczymi i od podszewki zna stosowane w nich techniki badawcze.



Działalność Chi Kwadrat to przede wszystkim badania w praktyce, a więc kilkanaście projektów badawczych zrealizowanych na zlecenie rozmaitych firm i instytucji. Koło współpracowało między innymi z SMG/KRC – największą obecnie agencją badawczą na rynku, agencjami reklamowymi, PCK, organizacjami studenckimi. Oprócz badań Chi Kwadrat organizowało lub współorganizowało liczne konferencje i cykle wykładów poświęcone tematyce badań marketingowych i zagadnień pokrewnych, takich jak reklama i public relations. Jako prelegentów zapraszano zawsze cenionych specjalistów w danej branży – nierzadko dyrektorów działów zajmujących się danym zagadnieniem w najbar-

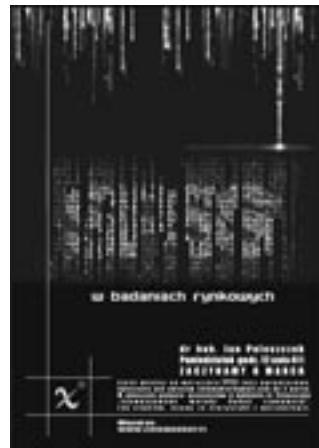
dziej uznanych firmach i agencjach na polskim rynku.

W roku 2008 Chi Kwadrat nie zwalnia kroku. 2 kwietnia Walne Zgromadzenie Członków wybrało nowy zarząd. Prezesem został Piotr „Zimek” Zimolzak, student IV roku socjologii (na zdjęciu). W tym roku koło już zrealizowało lub realizuje następujące projekty badawcze:

- monitor studencki – zaplanowany jako panelowe badanie społeczne populacji polskich studentów
- niewidzialne miasto – realizowany we współpracy z socjologami z UAM w Poznaniu projekt z dziedziny socjologii wizualnej i socjologii miasta
- badania bibliotek UW i akademickiej służby zdrowia (SZUW).

W planach jest także cykl wykładów na tematy socjologiczne i okosocjologiczne związane przede wszystkim z marketingiem, public relations i badaniami rynku.

Wszystkich zainteresowanych współpracą z kołem zapraszam na bardzo bogatą w treść i profesjonalnie przygotowaną stronę: www.chikwadrat.pl. Z niej można dowiedzieć się więcej o przeszłej i bieżącej działalności koła, a także pobrać deklarację członkowską dla kandydatów na przyszłych członków.



Oskard

Po co ci ta Islandia?

o konkursie Klubu Islandzkiego „Dlaczego Islandia?” z prezesem SKI rozmawia insp. Buko

Dlaczego „Dlaczego Islandia?”

Od pewnego czasu z niepokojem obserwujemy w Klubie, jak coraz więcej Polaków wyjeżdża na Islandię w poszukiwaniu zatrudnienia. Często jest im wszystko jedno, do jakiego kraju jadą, bo interesują ich wyłącznie warunki pracy i płacy. Oczywiście każdy ma prawo pracować za większe pieniądze i w lepszych warunkach niż w Polsce, ale w tłumie „pracowników” giną „miłośnicy” – ludzie bezinteresownie zainteresowani Islandią, którzy mogliby przekonać Islandczyków, że Polska nie gryzie.

Dzięki konkursowi pokażecie Islandczykom, że Polacy są fajni?

Raczej, że mogą być fajni. Chcemy rozładować napięcie narastające w stosunkach polsko-islandzkich; przekonać zarówno polską, jak i islandzką opinię publiczną, że wielu Polaków interesuje się Islandią z pobudek innych niż materialne; pokazać całemu światu, że Islandia ma w Polsce swoich zagorzałych fanów.

Czy nie chcecie w ten sposób przekonać także samych siebie?

Oczywiście. Powstanie i kilkuletnia już działalność naszego Klubu na Uniwersytecie Warszawskim, w dodatku na Wydziale Polonistyki, wciąż jest dla nas wszystkich ogromną zagadką. Konkurs pozwoli nam odpowiedzieć na pytanie, czy istnienie na UW społeczności osób zainteresowanych

Islandią jest fenomenem ograniczającym się do murów naszej uczelni, czy też jest przejawem ogólnopolskiej miłości do Wyspy.

A czy ty sam zadajesz sobie pytanie „dlaczego Islandia?”

Naturalnie. Wydaje mi się zresztą, że to pytanie towarzyszy wszystkim członkom i sympatykom naszego Klubu. Chyba nie ma na nie jednej dobrej odpowiedzi. Z całą pewnością nie będę próbował udzielać jej tutaj, w każdym razie nie teraz, żeby nie sugerować uczestników konkursu.

No właśnie. Jeśli interesuję się Islandią i chciałbym napisać pracę na wasz konkurs, to co powinienem zrobić?



Zacznij od autorefleksji. Zastanów się, skąd się u Ciebie wzięło zainteresowanie Islandią, jak się przejawia, jakie miejsce zajmuje w Twoim życiu, co Ci daje. To z pewnością najtrudniejszy etap pracy. Potem musisz spisać swoje refleksje, nadając im formę zgodną z wymogami regulaminu konkursowego, który publikujemy na naszej stronie internetowej: www.uw.islandia.pl. Ponieważ w konkursie mogą brać udział również osoby związane z naszym Klubem, zdecydowaliśmy się na kodowanie prac przy pomocy godła, tak żeby zapewnić wszystkim uczestnikom warunki równego startu. Musisz więc wymyślić swoje godło – dowolne hasło, którym podpiszesz swoją pracę. Wszelkie konieczne dane osobowe powinieneś natomiast umieścić w oddzielnej kopercie na formularzu zgłoszeniowym, który można pobrać z naszej strony. Wydruk pracy wraz z kopertą ze zgłoszeniem wyślij na adres podany w regulaminie. Na to wszystko masz czas do 14 maja.

A co można wygrać?

To na razie niespodzianka. Nie chcemy, żeby ktokolwiek brał udział w konkursie ze względu na nagrody, które można w nim wygrać – w końcu adresatami naszego zaproszenia mają być „bezinteresownie zainteresowani” Islandią. Poza tym jeszcze nie wiemy, jakie prace nadejdą i jaki będzie w związku z tym podział nagród. Na pewno będą to nagrody rzeczowe i na pewno będą związane z Islandią.

Ibero sacro & amigos nachlanos

jak studenci MISH i znajomi zgłębiali istotę Wielkiego Tygodnia w Sewilli

*Jest Mężczyzną. Mężczyzna cierpi po męsku. Gdy ktoś chce wyrazić współczucie mężczyźnie, podaje mu rękę, ściska jego rękę i mówi krótko: „Odważ!” Tak postępuje się z mężczyzną, lecz zupełnie inaczej z kobietą. Z kobietą inaczej. Oto za Nim idzie Panna Święta. Ją trzeba pocieszać. Musi iść za swym Synem, bolesna, pogrążona w cierpieniu. Dobrze, niech idzie. Ale Sewilla zajmie się zorganizowaniem tego. Niech przyniosą goździki, ale tylko białe. Aby Ją pocieszyć. Aby nie płakała.**

Cała nasza Sewilla zaczęła się w głowie Marysi, studentki MISHu. – Oglądałam dwa lata temu Bachantki w wykonaniu sewilskiego teatru flamenco, który był przełożeniem na scenę tragedii antycznej i zarazem obchodów sewilskiego Wielkiego Tygodnia (Semana Santa). Pomyślałam sobie wtedy, że muszę tam być. A zaraz potem, że muszę tam być w gronie fajnych osób. No i zaczęłam organizować wyjazd – opowiada Marysia. A teraz ja Wam opowiem, że – mówiąc szczerze – oprócz radosnej inicjatywy nie było niczego pewnego w tej „organizacji”. I bardzo dobrze.

Osołomiła nas mocnym słońcem i tą swoją bujną palmą, fikusem jak dąb Bartek, lasami kwitnącej pomarańczy i jaskraworóżowym kwiecikiem pstrzącym się na dziedzińcach arabskich pałaców. Wszystko się pstrzyło i skrzyło. No super. Przyjeżdżamy na miejsce, czyli pod dom naszego nowego gościnnego kolegi z portalu Couch Surfing. Zmęczone ale szczęśliwe, zrzucamy ledwo dotaszczone plecaki, dzwoniemy do drzwi, otwiera naćpany menel no i mówi, że sorry, ale tak się nad tym wszystkim zastanowił i jednak nie-e.

A ja, gdy zamykam oczy, widzę krzywą melodii na czarnym akşamie nocy. (...) Jest jak złota nić nawleczona w srebrną igłę „ach”, która haftuje mauretańską fantazję światła. Jest jak świetlista palma najdelikatniejszej pirotechniki, która wysyła w noc deszcz łez.

Co robić, w Sewilli 2 miliony ludzi, czyli 200% normy, hostele pękają w szwach... „Dziewczyny, wyciągajcie medaliki”, zarządza Kamka i idziemy w tour po kościołach w poszukiwaniu zrozumienia i dobroci. Hiszpański to jest jedyny język, w którym można tu się porozumieć. Na szczęście mamy dużo wdzięku, każda z nas zna się dwa słowa, w sumie 5 czasowników w 1. os liczby pojedynczej, 10 rzeczowników i 3 spójniki, do tego dojdzie wymowne body language & expressis verbis... Dzięki niedomaganiom języka dziewczyny znajdując schron u sióstr klarysek.



– A jesteś religiosa?, pyta Rebeczka, siostra-kulka z Meksyku. Odpowiedziałam, że pewnie, że jestem, a potem okazało się, że religiosa to zakonnica, a nie osoba religijna, jak mi się logicznie nasunęło – opowiada Marysia. – W końcu nas przyjęły. Na początku były trochę nieufne, ale wkrótce lody zostały przełamane i nieoczekiwanie awansowałyśmy na „dar zesłany od Jana Pawła II” i trwałyśmy w zamknięciu krat i serc w oczekiwaniu na „ilumina-



tio” (Kamka: ja pierwsza zostałam wytypowana jako osoba pretendująca do życia klasztornego. Wspaniale! Rebeczka do Kamki na migi: „ty, tup tup tup, do Polski, do mama i papa, pożegnasz się, tup tup tup z powrotem, my ciebie ubierzemy w habit i zostaniesz. Chcesz? Chcesz, chcesz!). – Ostatniego dnia, w Wielkanoc dostałyśmy od zakonnic koronkowe majtki. Na ślub albo śluby – dodaje Kamka.

– Wydawałoby się, że Europa Zachodnia niczym nie może zaskoczyć – mówi Kuba. – A tu wow. Co ci ludzie robią? Wielkanoc, a oni sobie robią festyn. Tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci w dzień i w nocy patrzą z balkonów, barów i trybun. Wszyscy cigarette i cerverza. W barach mężczyźni patrzą się w telewizory (z wyglądu tak stereotypowo śródziemnomorscy, że nie chce się wierzyć). Wszystko normalnie, ale w telewizorze zamiast piłki nożnej transmisje procesji wielkanocnych.

– W sklepach ciastka, breloczki i inne gadżety związane z Wielkim Tygodniem. W dużych sklepach muzyka z pochodów. Tak, to było to! Ten automat do hazardu, a nad nim cały zestaw: Jesus de Grand Poder, Makarena i z 5 innych Matek Boskich – śmieje się Maria Służebnica.

– Procesje z Semana Santa to czysty folklor. Niewiele w tym religii – opowiada Beatus Vir. – Na przedzie idzie w dwóch rzędach ze stu krasnali w długich czapkach na stożku, za nimi kładący ornaciarze, potem czterdziestu kolesi niosących na karkach paso – barokowy kiczor, złoto, świece, kwiaty i Matka Boska pod baldachimem, a za nimi 100-osobowa orkiestra dęta łupiąca marsze.

Baldachim Panny Łaskawej jest ogromnym wibrowaniem złoczystych karczochów obramowanych błękitem. Lilia między karczochami – Panna Święta.

– Na końcu defilowali krasnale z przyklepiętymi kapturkami (jak to określiła Dorka: krasnalowość impotentna). Dla większego czadu procesje przechodziły w labirynt wąskich arabskich uliczek. Byli wszędzie – mówi Zuzanna i starcy – coś niesamowitego. Idziesz sobie, idziesz, a tu nagle: bach! Taki kunszt!

– Inna sprawa to, zostawiając na boku wielki tydzień, niesamowita przeszłość obecna w tak wielu miejscach – wspomina Kuba.

– To mnie najbardziej ciągnęło do Andaluzji. Nie zawiódłem się, ślady wielokulturowej historii dają dużo myślenia. I podziwiania. Meczeta w Kordowie: monument skromności, pośrodku którego wyrosła przebogata katedra. Dzwonnica w Sewilli: ciekawe, kto zdaje sobie sprawę, że kiedyś śpiewał z niej muezin. Ogrody Alkazaru: klejnot najświetniejszych władców Al-Andalus, a potem... arcykatolickich królów Hiszpanii. Ech, wrócić... – Wrzuciłam całe euro do fontanny w alkarzarze, żeby wrócić na pewno – mówi Maria Służebnica.

Cudowne były nasze małe zwyczaje, np. spotkania ustalone telepatycznie. Umawialiśmy się po bożemu wielokrotnie, ale ▶

► Kto będzie oceniał pracę?

Jury złożone z pracowników naukowych UW i przedstawicieli Klubu. Zaproszenie do udziału w pracach Jury przyjęli m.in. dr hab. Grażyna Szelańska z Instytutu Historycznego i mgr Włodzimierz Pessel z Instytutu Kultury Polskiej. Oboje zajmują się w swojej pracy naukowej Skandynawią.

Co zrobicie z pracami po zakończeniu konkursu?

Zapakujemy wszystkie w paczkę i wyślemy prezydentowi Islandii z dopiskiem „Proszę nas pokochać”. Nie, żartuję oczywiście. Wszystko zależy od poziomu nadesłanych

prac. Możliwe, że zrobimy jakieś spotkanie z autorami, może konferencję naukową. Jeśli prace okażą się naprawdę dobre – a na to liczę – postaramy się o ich publikację, być może pokusimy się o wydanie antologii najlepszych tekstów.

Dziękuję za rozmowę.

Mam dziwne wrażenie, jakbym to ja Tobie dziękował.

z Łukaszem Bukowieckim,
prezesem SKI, rozmawiał
Inspektor Buko

► jako wszyscy się gubili w procesyjnych tłumie albo w czasie, który akurat w Sewilli biegnie jak chce albo nie biegnie w ogóle. Spotykaliśmy się natomiast przypadkiem, kilka osób naraz wpadało na siebie w dwumilionowym mieście. Kupowaliśmy wtedy wino za 40 centów + małże w sosie własnym i we własnej osobie, a potem dla szysku, lansu oraz szpanu konsumowaliśmy je w coraz to bardziej wyszukanych miejscach, np. u wrót katedry albo w hrabiowskich łóżach trybuny honorowej.

Raz w wytwornej cafe, smakując w dziesiątkę ptifurkę z wisienką, kierowani prostym głodem i nostalgią za ojczystą biedą, otworzyliśmy sobie pod stołem puszkę z prochowickim pasztetem z kurcząt. Poculiśmy przez moment niejaką żenadę, ale spokój przywrócili nam Zuzanna i starcy mówiąc te pamiętne słowa: „my możemy, jesteśmy wszak z Europy wschodniej”. Zazwyczaj jednak wybieraliśmy bary stare ale jare, których standard dawał o sobie znać już z pewnej odległości tym lub innym zmysłom (Zuzanna i starcy: „no, wprawdzie ładnie tu jest, ale śmierdzi, więc możemy zostać”).



– Najgłębiej zapadnie mi w pamięć nasze śniadanie wielkanocne – opowiada Maria Służebnica. Celebrowaliśmy je w arabskich ogrodach przy różowej karimatce suto zastawionej gotowanymi jajkami, wyborną sangrią, soczystymi daktylami, pachnącymi pomarańczami, hiszpańskimi oliwkami i jamon serrano, czyli kawałkiem ordynarnej świńskiej giczyzny – andaluzyjski przebój masarski! Całości dopełniał zaś rozkoszny żół-

cięńki kurczaczek z pluszu i podwiedły jakoby bukszpan. Z braku symboliki i świętości przybraliśmy stół karczochami i wetknęliśmy między ich główki różę ukradzioną z ukrytego w kościele paso. Nie było świętości w naszym świętowaniu, ale, jak mówi Kuba, może to nie szkodzi, bo Hiszpanie też nie przejmowali się dbaniem o zadumę...

Chrystus Wielkiej Mocy. Chrystus Męki. Obaj są Nazareńczykami. I obaj w fioletach. Chrystus Męki to irys. Chrystus Wielkiej Mocy to karczoch. Nad obydwoma przeszedł wichur katuszy. Irys zgiął się i osłabł. Karczoch idzie prosty i surowy.

Tymczasem minął tydzień wielkanocnych celebrazji i grupa badaczy, pozbawiona bezpowrotnie źródła wzruszeń i natchnień wysokich, poszła do upadłego baru w złej dzielnicy topić smutki w mocnych lokalnych trunkach. Na domiar złego wpadła tam w samo piekło ognistego flamenco. Pośrodku siedziała leciwa legenda owego i raz po raz długim bordowym paznokciem odśladniała grube udo.

A potem wsiedliśmy w samolot i myk myk, w polskie śniegi. Chciałoby się powiedzieć za Kubę: ech, wrócić... Jedyne, co możemy, to skrzyknąć się na kolejną imprezę wspomnieniową z głośnymi odczytami „Jak płacze Sewilla”, oddawaniem czci relikwiarzowi XXI wieku (plastikowe pudełko na kompakt) z uschniętą różą wyjętą z pamięci karczochów, tortillą „dziką i nieokiełznaną”, szaloną tarantellą i innymi hiszpańskimi namiętnościami z dwoma „l” w nazwie.

Maria Służebnica: „Mimo kilku trudnych chwil i niewygód, było nawet lepiej niż oczekiwałam, a to bardzo, bardzo wiele. Marzenia rzadko są aż tak bardzo nieomyślne”.



Marta Czermarmazowicz

przy nieocenionym wsparciu moralnym Marysi Wójtowicz
zwanej również Marią Służebnicą.

* Wszystkie cytaty pochodzą z naszej ulubionej książki „Jak płacze Sewilla. Opowiadanie o Wielkim Tygodniu” Ramona Cue Ramona SJ, Częstochowa 1997, lokalizacja: BUW, Magazyn, sygnatura 744130.

Nienormalni w École Normale

na francuskim trakcie

Dwóch nieśmiałych Traktorzystów z karimatami na plecach i śpiworkami pod ręką postanowiło polecieć na skrzydłach żelaznego wielkiego ptaka aż do Paryża.

Polecieli do École Normale Supérieure – tam, gdzie na Erasmusa polecieć się nie da... Wybrali się tam, aby zaznać zaszczytu spania na podłodze jednej z najbardziej znanych europejskich uczelni. Spanie na owej podłodze jest marzeniem każdego francuskiego maturzysty, bo z podłogą to mogą równać się tylko parkiety Oksfordu czy Harvardu.

Tymczasem na powitanie wybiegł im rodak Krzys – sympatyczny stypendysta, w innym życiu MISH-owiec. Po 10 minutach znaleźli się na bruku... Rue d’Ulm. Niedługo potem w windzie, gdzie można poznać przyszłego prezydenta Francji, spotkali małego chłopca z wielką chrupiącą bagietką w rękę. Benjamin – bo takie było jego imię – spoglądał na nich z wrodzoną podejrzliwością, ze wzrokiem pytającym, coż to znowu za dzicy lokatorzy. „Przyjaciele z Polski” – padło po francusku i Benjamin uspokoił się, że to nie szaleni włóczędzy z nieznanego dotąd łądu.

Traktorzyści szybko znaleźli się w przytulnym pokoiku z Niną, dziewczyną Krzysia z czajnikiem w rękę. W pokoju musieli być cicho, gdyż Krzys naraził się sąsiadom graniem wieczorami na gitarze.

Nazajutrz obudzili ich zapach kawy i świeżych croissantów. Chcieli wkręcać się na zajęcia, ale zostali poinformowani, że muszą pojawić się



na nich wcześniej. A to dla Królewskiego Traktorzysty bariera mentalnie i fizycznie nie do przeskokowania. Umyli więc zęby, a potem w pośpiechu wyszli z akademika. Naprzeciwko ujrzeni gmach École Normale Supérieure... Rzuciła im się w oczy na wpół rozwalona stara brama, dzień wcześniej przejechana przez ciężarówkę. Po drodze wstąpili do piekarni i znów kupili sobie croissants. W sklepie spotkali samych emerytów i jednego Araba. Uliczka była cicha i wymarła, tak jak i korytarze akademika. Wyglądało to tak, jakby wszyscy studenci siedzieli zatopieni w książkach. Ale z budynku uczelni też nie dobiegały żadne odgłosy. Może nikt tam nie studiuje, a może to cisza wytężonego skupienia? Zaczęli się domyślać, że École zamieszkuje parę, a nie parędziesiąt tysięcy studentów (jak na Królewskim Trakcie).

Postanowili od razu ruszyć w miasto. Uderzył ich kontrast między miejskim gwarem i blaskiem drapieżnych latarni z ciszą, spokojem i pustką Rue d’Ulm. Trakt francuski to oaza spokoju w morzu miejskiego chaosu. Traktorzyści Królewscy pozazdrościli przez chwilę swoim kolegom, Benjaminowi, Krzysowi i Ninie. Zrozumieli, że doskonałe nie musi znaczyć duże, głośne i na pokaz...

Traktorzystka Krysia z filozofii
Traktorzysta Witek z kulturoznawstwa

Nieruchomość ruchomych schodów

i sposoby jego poskromienia

Powracając po latach z tajemniczych krain postanowiłem uderzyć na wiośnię w ton dosyć moralizatorski. Rzecz, którą tu przedstawić mam zamiar, wydać się może dosyć błaha przy pierwszym oglądzie, lecz bagatelizować jej nie należy. Sprawa dotyczy się zapchanych schodów ruchomych.

Schody ruchome, sprzyjające lenistwu i bólowi stawom, wciąż gają ludzi bezpiecznie na wysokości jak i z piekielnych czeluści metra wydobyć potrafią. Morfologicznie każda linia schodów ruchomych to jedno pasmo przekazu ludzi, ale z punktu widzenia anatomii funkcjonalnej wyróżnić można dwa strumienie przetwarzania jednostek ludzkich przez schody – lewy i prawy. Przyjęło się już od czasów Arystotelesa, że strumień prawy jest statyczny zaś lewy dynamiczny. Znaczący to mniej więcej tyle, że w ramach prawego strumienia ludzie stoją sobie spokojnie, czekając aż schody posłusznie przekształcą ich położenie na docelowe, podczas gdy w strumieniu lewym ludzie wspomagani jedynie wysiłkami schodowej maszyny pędzą na spot-



kanie schodów ujęcia. Tak to przynajmniej wygląda w przypadku zdrowego automatu schodowego, patologie zdarzają się jednak często – wystarczy by pojedyncza ludzka „krwinka” statycznie osiadła w dynamicznym strumieniu aby całkowicie go zatkać, rujnując w ten sposób cały metabolizm schodowy. Każdy bywalec metra,

a w szczególności stacji centrum zna to zjawisko nader dobrze – gwałtowny krwotok ludzi z głębin wagonu, szukający ujęcia w schodach ruchomych w wielu przypadkach zapycha je nieszczęśliwie, sprawiając, że strumień dynamiczny staje się osiadły. Zjawisko to jest w dosyć oczywisty sposób niekorzystne dla tych istot ludzkich, które w pośpiechu gnając przez pola na złotym rumaku mają nadzieję skorzystać z dobrodziejstw lewego strumienia. A tu strumienia nie

ma – osiadł i rozpoczął uprawę ziemi oraz hodowlę bydła. Galkom ocnym ukazuje się jedynie dążący do nieskończoności ciąg mrocznych posągów zwątpienia – ludzi, którzy wypchnięci z trasy wolnego ruchu uzurpują sobie prawo do powstrzymania postępu lewego strumienia zbawienia. Zwykle odpowiedzialna jest za to jedna persona, co zwątpiła w ruch na drodze szybkiego przemiejscawiania się będąc i powstrzymała swe kończyny od zbędnych poruszeń, przypominając sobie, że już przecież Parmenides dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że wszystko jest jednym, stałym, nieruchawym strupem. Osoba taka zwykle jest poza zasięgiem słowa mówionego jak i pisanego także nie sposób jej wyrwać z Parmenidejskiego otępienia na odległość. Dzielny rycerz w takiej sytuacji, nie lękając się zbytnio, ujmuje swą kopię pewniejszym chwytem i brnie poprzez zastępy ciała, krzycząc głośno słowa modlitwy: „Przepraszam bardzo!”. Docierając wreszcie do winnego, co zator spowodował, nadziewa go na swą kopię i grzecznie informuje:

„Tak jak dwa są mózgowe strumienie przetwarzania informacji wzrokowej, tak też dwa strumienie automatu schodowego być winny – dynamiczny oraz statyczny. Ty, śmiałku, wstąpiłeś na dynamiczną drogę i zamarłeś w bezruchu paraliżując słup ludzi za Tobą. Nie czyn tego więcej jeśli kochasz Ojczyznę swoją!”

Taką też postawę chciałbym w waszych sercach wzniecić, czytelnicy. Reagujmy, gdy czas nam ucieka, a schody zapchane suną się wolno i rozgłaszajmy wieść radosną o dwóch strumieniach ludzkiego schodowstąpienia. Pozwólmy memowi dwóch strumieni osiąść w ludzkich mózgach, ustabilizować swą pozycję synaptyczną, a zaobfituje on szczęśliwszym porządkiem wszechświata. Razem, stosując się do owych zaleceń i wyłamując się z kokonu bierności, zbudujemy pałac lepszego jutra i może wreszcie stanie się wiedzą powszechną jak korzystać z ruchomych schodów należy, a ich nieruchomość ostatecznie wyginie, lub wyniesie się pasażerów na obiektach skrytych w innych wymiarach.

Mikołaj Magnuski

tak, to on!

Gdy dziadek Erazm pokaże kły

czyli dlaczego obcokrajowiec może zwiędnąć?

Wyobraź sobie miły wiosenny poranek, na przykład dzisiejszego dnia. Jeszcze nie wiesz, jaki jest piękny, bo nadal pozwalasz kołysać się łagodnej fali snu, niosącej cię do ciepłego brzegu jawy.

Nagle jednak wszystko zaczyna dziać się nie tak: zamiast powolnie wypływać na powierzchnię świadomości doświadczasz gwałtownego szarpania za ramię i oto znajdujesz się, jeszcze nie do końca przytomny, twarzą w twarz ze swym współlokatorem, który ze łzami w oczach mówi ci, że chce go porwać mafia, podrobili mu klucze, a w telefonie ma podsłuch. Co więcej, twój współlokator jest erasmusem i najwyraźniej jesteś jedną z nielicznych osób, do których może zwrócić się po pomoc...

Jest to początek historii, która przydarzyła się naprawdę. Jednak przez wzgląd na osoby w nią zamieszane nie opowiem wam jej dalszego ciągu. Zamiast tego oferuję kilka informacji, które w podobnej sytuacji mogą okazać się przydatne...

To jasne, że zawsze mogą nadejść trudne momenty, wystawiające nasze zdrowie psychiczne na próbę. Zapominamy jednak o tym, że nawet oderwanie od własnego środowiska, wrzucenie w świat innego języka i innej kultury może być dla wrażliwych jednostek zbyt trudnym egzaminem. Tak, wyjazd na Erasmusa to nie tylko wesołe imprezowanie i poznawanie nowych ludzi, ale też spory stres.

Spróbowałam się dowiedzieć, jak do tej kwestii podchodzi nasz kochany uniwersytet. Otóż oficjalnie problem nie istnieje, w ciągu ostatnich 10 lat przypadek wspomnianego erasmusa był jedynym zanotowanym, nie ma żadnych statystyk. Jest poniekąd zrozumiałe, że nikt nie ma ochoty się chwalić w administracji chorobą, ale skutkiem tego problem jest banalizowany, obcokrajowcy nie są w żaden sposób informowani, gdzie w razie potrzeby szukać pomocy. Istnieje co prawda Akademicka Służba Zdrowia, ale nie ma ona nawet strony

internetowej w języku innym niż polski. Skwapliwość, z jaką recepcjonistka odesłała mnie z pytaniem o pomoc psychiatryczną w obcych językach do dyrekcji nie sugeruje niczego dobrego. Znaczący to niestety, że erasmusi są pozostawieni samym sobie i to właśnie my – ich polscy znajomi – musimy czasem wziąć sprawę w swoje ręce.

Problem oczywiście jest rzadki, ale nie aż tak bardzo, jak mogłoby się wydawać. Z nieoficjalnych źródeł wiem, że zwłaszcza depresja zbiera wśród erasmusów swoje żniwo.

Co więc zrobić, gdy nasz obcojęzyczny kolega przestanie wstawać z łóżka, zacznie przejawiać stany lękowe czy opowiadać niepokojące historie? Przede wszystkim zachować spokój, nie dać się przestraszyć i zdecydowanie działać! Choroby psychiczne to schorzenia jak każde inne, im szybciej zacznie się leczenie, tym łatwiej o powrót do zdrowia. Jednak inaczej niż katar, nie da się ich przeczekać – konieczna jest wizyta u specjalisty! Można skorzystać z pomocy ambasady, ale nie wszystkie posiadają namiary na obcojęzycznych lekarzy. Naszym najważniejszym zadaniem będzie więc przekonanie naszego erasmusa, żeby skonsultował się z psychiatrą, a kiedy się to uda, towarzyszyć mu (żeby mieć pewność, że do niego naprawdę poszedł) i w razie konieczności służyć za tłumacza. Uff! Nie będę ukrywać, że są to trudne sprawy, ale – i mówię absolutnie serio – możemy uratować człowiekowi życie.



Po wakacjach sama jadę na Erasmusa do Francji. Zobaczymy, czy tam radzą sobie z tym lepiej niż my (obym tylko nie musiała sprawdzać tego na własnej skórze!).

Nata Grzywalska

filozofia

O, Majdan!

Traktorowy Hyde Park – co lepsze kawałki (traktor.dobrze.org/majdan.php)

myślę, że ludzie prawie zawsze powtarzają puenty opowiedzianych im kawałów, bo to jedyny czas względnie wolny od obnażających niezrozumienie operacji na sensie tychże. a kobiety malują się z otwartymi ustami, żeby po zakończeniu pracy mieć większy kontrast estetyczny między przed i po. ja naprawdę tak myślę i chciałbym rozpocząć dyskusję na te tematy.

hejka (2008-02-02)

pomyłka przyczyny ze skutkiem, mości Hejko! to nie otwarcie ust wywołane jest pragnieniem ich pomalowania. rozdziawienie kobiecie powstaje w wyniku wstrząsającego całą egzystencją zadziwienia. nie pozostaje wtedy nic innego, jak owe rozdziawienie podsumować/zatuszować (?) kilkoma małżnięciami szminką.

Naczel (2008-03-05)

w sprawie postów Hejki (z 02.02.08) i Naczela (z 05.03.08): Najpierw podsumuję błędną intuicję Naczela: zdziwienie zatuszować szminką??? jak to??? niewyraźny okrąg zdeformowanych grymasem ust wyostrzyć kolorem jak konturem??? takie tuszowanie??? absurd!!! ale z drugiej strony, Mości Hejka też niesłusznie domniemywa, że to jakieś wyrachowanie służące samooszukiwaniu, tworzenie kontrastu estetycznego czy coś. Zresztą, nie o malowaniu ust mowa (niewygodnie jest je nadmiernie rozdziawiać przy operowaniu szminką, uwaga dotyczy z pewnością czynności malowania oczu). przyczyna jest inna, w dodatku zgoła: kiedy skupiamy się intensywnie na oczach, czyli ich walorach aktualnych i planowanych, przestajemy kontrolować pozostałe części ciała, nasz imidż musi na tym ucierpieć. nie ma się co tłumaczyć, że skóra na oczach się naciąga i możemy wtedy lepiej rozprowadzić cień, albo że rzęsy dęba stają i tusz harmonijniej się po nich wówczas rozlewa. nic z tych rzeczy. to tylko banalna nieuwaga, takie estetyczne zapomnienie ogółu na rzecz szczegółu. kwestię powyższą podjęłam i rozstrzygnęłam. teraz proszę o zabranie głosu w sprawie: po co mężczyznom sutki???? no po co one im????

niunia (2008-03-15)

Projekt Polska XXI (na razie ujawnili się Rafał Dutkiewicz, Rafał Matyja, Jan Rokita, Kazimierz M. Ujazdowski) 10 marca 2008 r. rozpoczął działalność od ankiety konstytucyjnej, więcej na www.polskaxxi.pl. Niby nic, a jednak...10 marca to rocznica wybuchu powstania w Wandei, a także rocznica utworzenia we Francji Trybunału Rewolucyjnego do walki z kontrrewolucją. Pogłoski, że p. Kazimierz M. Ujazdowski jest frankofilem zatem znajdują niepodważalne uzasadnienie.

książe frodo (2008-03-27)

a mój blog jest najlepszy :) <http://maciejgnyszka.blogspot.com>

Maciej Gnyszka (2008-03-27)

Do Macieja Gnyszki o jego „najlepszym blogu”: Twój blog czytało mi się ponadprzeciętnie przykro. Zastanów się proszę, czy to, co piszesz, jest przejawem głębokiej wiary wbrew przeciwnościom naszych zdegenerowanych czasów, czy może efektem mega pychy i skłonności do mędrkowania. Jest w każdym razie mocną antyreklamą katolicyzmu. Chociaż ton zmień, proszę, bo gorzko się robi. O zmianę poglądów nie proszę, bo to inna sprawa, doskonale potrafię zrozumieć posłuszeństwo Kościołowi, w tym – intelektualne posłuszeństwo, a nawet wielkie przekonanie do treści, które Kościół głosi. To szanuję. Ale Ty lepiej ewangelizuj, a nie uprawiaj kato-lans. Mam wielki szacunek dla tradycji chrześcijańskiej, żeby było jasne. Do Ciebie też, choć to akt WOLI, a nie zespół przyjaznych uczuć. Ale ZASTANÓW SIĘ, po co np. te wszystkie wtręty o mało subtelnych umysłach?? Twój umysł też mi na subtelny nie „zawyglądał”. Na pewno mój napisany w nerwach

post przyjmiesz z właściwą człowiekowi wierzącemu pokorą. A jeśli nie... no cóż...

podobno nie-katolik, czyli pewnie... potępieniec (2008-04-03)

Kolejne wypowiedzi były coraz dłuższe, więc Redakcja uwielbiająca ryzyko podjęła się karkołomnej próby wyciągnięcia z nich najistotniejszych zdań. Nadmienię warto, że z pominiętych wypowiedzi wynikał wzajemny szacunek rozmówców oraz chęć kontynuowania dyskusji prywatnie.

Redakcja

Wydaje mi się, że poboczną sprawą jest to, skąd wypływa to, co piszę. Ważniejsza jest moim zdaniem treść, która może być przedmiotem dyskusji. Zapewniam równocześnie, że nadzór rachunkowo-sumieniowy i spowiedniczy nad przejawami pychy stale prowadzę. To, że na blogu ujawniać się może – jasne. Od tego między innymi są Czytelnicy, by zwrócić na nią uwagę. (...)

Co do tonu – rzeczywiście niekiedy mnie ponosi i przyznam, że czasami przydałaby się jego zmiana. Natomiast skąd on się bierze – ależ proszę Kolegi, jedną z rzeczy, po której płaczę, a którą wyrugowano z życia intelektualnego, to polemiki pełne szwungu. Teraz polemika wygląda tak, że wygłasza się nieoczywistą tezę tonem oczywistości, a resztę nadrabia ubraniem. Proszę poczytać Chestertona, trochę polemik międzywojennych – wyda się zrozumiałe to, co mam na myśli. (...)

Czy mój umysł jest subtelny? To niechaj już Kolega ocenia (choć nie wiem, czy analiza bloga to najlepsza metoda :)) (...)

Maciej Gnyszka (2008-04-07)

Dziękuję za zaproszenie do dyskusji, traktuję je poważnie, chociaż nie wiem, czy na dłuższą metę warto w taką dyskusję wchodzić, skoro na pewno mamy różne aksjomaty. O aksjomaty chodzi, nie jest to złośliwość!! z człowiekiem religijnym można w wielu punktach jedynie ustalić, że wie, co POWINIEN powiedzieć i że w to WIERZY, więc to mówić. Co do stałej kontroli pychy objawiającej się w języku tego bloga (wg mnie ponadprzeciętnie często) – cieszę się, że jest ona pod kontrolą i życzyć powodzenia i POSTĘPÓW. Podkreślałam, że takie językowe objawienia uważam za mocne przesłanki do wygłoszenia opinii o człowieku. Zapewniam, że język o nas w dużym stopniu świadczy. (...)

Pozwolę sobie na marginesie powiedzieć, że treści od formy totalnie nie oddzielimy, szczególnie w takich przypadkach. Np. słowo „dziwka” jest mocne i tyle. Kontekst je osłabia, ale w poście o Glamour nie tak znowu bardzo. (...)

Kato-lans: miałem na myśli częsty wśród katolików ton wyższości poznawczej. Kościół wszak (idę za „Fides et Ratio”) jest w posiadaniu prawdy, przynajmniej częściowej, i posiada jej coraz więcej w ramach rozwoju w czasie. Nie dziwi mnie więc ta pewność katolików, że WIEDZĄ o bardzo wielu sprawach bardzo wiele. Często jednak mam niesmak, gdy tylko wyczuję taki ton wypowiedzi. A w blogu Kolegi wyczułem. Dla mnie to kato-lans właśnie. (...) dywagacje różnego typu CZĘSTO bardzo odciągają (mam nadzieję, że nie Kolegę) od sprawy naczelnej: czynienia dobra i okazywania bliźnim miłości. Przykład: ironia w mówieniu o konkretnych politykach. Czy to nie bliźni? czy to tylko chodzące funkcje państwowe? a może katolik aż takiej ostrożności i wrażliwości w wypowiedziach prezentować nie musi? Wiem, jestem w sytuacji łatwiejszej: moje intuicje moralne nie każą mi od siebie aż tyle wymagać. Ale od katolików chyba mogę, jeśli mam poważnie traktować ich i ich deklaracje:) A to, że Kolegę ponosi, rozumiem jak mało kto, żeby była jasność :)

nie-katolik, nie-teista (2008-04-09)



Piszcie do Traktora, to najwyższa pora!

mercyn@o2.pl